

Listy do domu rodzinnego

List 1⁴⁵

+AVE CRUX!

Gdynia 04.06.83

Kochani! Serdecznie Was pozdrawiam z drugiego krańca Polski. Wybaczcie mi pismo, ale nie wziąłem z sobą pióra, a pismo długopisem nie zawsze wychodzi mi najlepiej.

Kochani!

Podróż wypadła znakomicie. Jechałem na samej górze i wbrew przypuszczeniom mamy raz w jedną raz w drugą stronę. W podróży niczego nie chowałem, nie zapinałem. Towarzystwo było fajne, dlatego niczego się nie obawiałem. Zresztą wiecie, kto ze mną jechał. Sami widzieliście w oknie młodą kobietę z chłopczykiem. Spali oni na środkowych kondygnacjach. Na samym dole spało jakieś starsze małżeństwo (tak przypuszczam). W połowie drogi przysiadł się jeszcze jakiś mężczyzna. Spałem (a raczej drzemałem) dobrze. Było raz gorąco, raz zimno, taka zmienna klimatyzacja.

Kolacja była wyśmienita. Połowę ekwipunku przywiozłem do Gdyni nietkniętą. Plecak był przez to niezwykle ciężki, co dało znać o sobie dopiero w czasie wędrówki po Gdyni. Miasto jak miasto. Pamięci ufać w nim nie można (raz zaufawszy nadrobiłem drogi o kilometr). W chwili gdy piszę te słowa, Gdynia posiada nie najlepszą pogodę. Jest pochmurno. Obawiamy się nawet opadów. Do Cioci trafiłem bez komplikacji.

Pisząc ten list, mam przed oczyma dwa obrazy mamy: astry i kochaną alejkę jesienną, a także wspaniały portret Ojca Świętego - autorstwa Włocha⁴⁶. Już zdążyłem się zagospodarować w małym pokoiku z widokiem na sąsiednie bloki. Wspaniała betonowa architektura. Do kościoła rzeczywiście niedaleko. Zdziwicie się zapewne dlaczego już piszę, dobrze się jeszcze nie zadomowiwszy. Otóż listy będę wysyłał codziennie. Będzie to kronika, swoista dokumentacja dla najbardziej nerwowych domowników.

Do zobaczenia, to już niedługo.

Pozdrawiamy (razem z Ciocią) wszystkich.

1 W miłości Słowa Bożego

Jacek.

45 Pierwsze cztery listy Jacek pisał z Gdyni, gdzie na kilkudniowy pobyt zatrzymał się u swojej matki chrestnej Marii Krawczyk, w drodze na rekolekcje powołaniowe u Księży Werbistów w Pieniężnie.

46 Chodzi o Władysława Włocha, męża siostry ojca Janiny.

List 2

+AVE MARIA

Gdynia 05.07.83

Godz. 19.40

Kochani!

Piszę do Was już (a może dopiero) drugi list. Dziś dobiega drugi dzień pobytu w Gdyni. Jest to jednak zbyt mało, by poznać to miasto. Gdynia, to zawiła płatanina ulic, w których dość łatwo się zgubić. Dziś cały dzień byłem w Gdańsku. Trochę zwiedziłem i to miasto. Prawdę mówiąc wolę Rzeszów. W Gdyni, w Gdańsku, i w tym całym kombinacie betonowym czuję się obco, samotnie. Brak tu życia. Ludzie stają się robotami. Panuje znieczulica. Nie zważa się na drugiego człowieka. Każdy myśli tylko

o sobie. Każdy zapatrzony tylko w siebie. Każdy gdzieś się spieszy, dokąś goni. Dziwna jest ta aglomeracja. Trzeba wykazać wiele hartu, by pokonywać piętrzące się trudności. Trzeba psychicznie być samowystarczalnym.

Kochani!

Nie martwcie się o mnie. Pieniądzy mi wystarczy, a i postaram się część przywieźć, by nie pogłębiać Waszych długów. Dziś byłem, jak już napisałem w Gdańsku. Znalazłem siedzibę MAITRI⁴⁷, lecz wybiorę się do nich dopiero jutro w godz. ich urzędowania. Jak na razie wydałem 129 zł i 60 gr. Wszystkie wydatki spisuję dokładnie, by zdać z nich Wam sprawozdanie. Kupiłem już dla Was dwie książki, ale ani tytułów, ani autorów Wam nie zdradzę.

Brak mi Was trochę w tym betonowym mrowisku. Staram się nie prześadywać w domu, by nie rozmyślać o samotności. Pierwsze dni zawsze są najtrudniejsze. Nie zdziwcie się, że daję krzyżyki na kopertach. Przy takim oznakowaniu łatwo jest rozpoznać, czy koperta była otwierana. Nie gniewajcie się, że piszę nie najlepiej, ale list ten gryzmołony jest prawie na kolanie i długopisem. Data na kopercie pomoże Wam obliczyć jak długo szedł ten list.

Do zobaczenia

Pozdrawiam Was wszystkich. W miłości Słowa Bożego

Jacek

P.S. Łączcie się ze mną na apelu Jasnogórskim

Sercem i duchem jestem z Wami.

J.R.W⁴⁸.

47 Ruch Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata. Jest to katolicki ruch kościelny działający w Polsce i w Czechach. Powstał w 1975 roku w następstwie spotkania Jacka Wójcika ze św. Teresą z Kalkuty. Nazwa Ruchu oznacza przyjaźń (maitri), a jego znakiem jest uskrzydłona ręka.

48 Inicjały Jacka oznaczające imiona: Jacek Roman Wincenty.

List 3

+Niech żyje Jezus
Godz. 20.20

Gdynia 06.07.83

Kochani!

Trzeci dzień i trzeci list. Piszę jak najęty. Ale nie martwcie się, mam o czym pisać. W pierwszym liście zapomniałem dopisać Wam jednej rzeczy Otóż w wagonie, w którym jechałem do Gdyni, jechała ze mną Pani Ch. Jeśli pamiętacie w pierwszej klasie uczyła mnie ruskiego. Dech mi zaparło, gdy ją zobaczyłem. Szczęście, że nie jechała ze mną w jednym przedziale.

Ale powróćmy do dnia dzisiejszego. Dziś odwiedziłem gdańską grupę MAITRI. Działają oni już sześć lat, więc nic dziwnego, że przed spotkaniem byłem mocno stremowany. Ale jakoś poszło. Są to sympatyczni ludzie, którzy (przynajmniej mnie się tak wydawało) są oddani sprawie. Pomogłem im w pakowaniu paczek, a oni jednocześnie opisali mi ich początkową i aktualną działalność. W czasie dyskusji uprzytomniłem sobie, że mamy nieco odmienne zdanie na różne tematy, ale powstrzymałem swój język. Jednocześnie z przyjemnością myślę o przyjeździe L.⁵ w sierpniu. Temu będę się sprzeciwiał, choćby dla samej przyjemności.

Dziś, jak i w dni poprzednie, zwiedziłem Gdańsk i Gdynię. Byłem po raz n-ty w Bazylice Mariackiej, a także na wieży tej wspaniałej budowli. Niepowtarzalne widoki! Robię oczywiście dużo zdjęć, które może dla Was są nudne, ale dla mnie stanowią wartościowy dokument (oczywiście, jeśli te zdjęcia wyjdą). Fotografuję głównie zabytki sakralne i architekturę.

Dziś skończyłem jedną z książek, które kupiłem. Książka ta stanowi dla mnie niepodważalny argument, przemawiający za modlitwą (bohaterem jest człowiek modlitwy). Dla niecierpliwych zdradzę, że nie jest ona o Ojcu Świętym. Autor w sposób specjalny wywyższa modlitwę ponad wszystko inne (mam szczególną radość, że nie możecie mi się sprzeciwić). A jeśli już o modlitwie mowa, to nasuwa mi się refleksja, że może właśnie Wasza modlitwa dodaje mi siły w trudnych sytuacjach.

Na razie pozdrawiam Was wszystkich. Bądźcie z Bogiem. W miłości
Słowa Bożego. Jacek

P.S. Jednoczcie się ze mną na Apelu

Zawsze jestem z Wami. Zjednoczony w modlitwie

J.R.W.

5 Aluzja do kolegi ojca o nazwisku Lis Czesław.

List 4

+VENI CREATOR SPIRITUS
godz. 22.00

Gdynia 07.07.83

Kochani!

To już ostatni, czwarty w kolejności list, pisany z Gdyni. Piszę go jakby na zakończenie pierwszego z trzech etapów tej pielgrzymki.

Przyznam, że z pewną radością wyjeżdżam już do Pieniężna. Po pierwsze: nareszcie na upragnione rekolekcje, po drugie nie mogłem już znieść tego betonu. Dzisiejszy dzień przeżyłem na tępo. Rano wyjazd do Oliwy a jeszcze wcześniej do Rumi, Redy i Wejherowa. W Oliwie w sumie może byłem z 10 minut. Do pociągu goniłem, ponieważ z moimi gospodarzami byłem umówiony na 3.00 w Gdyni. Ostatecznie się spóźniłem. Byliśmy w porcie gdyńskim, na plaży, chodziliśmy po mieście. Jednakże te widoki nie równają się z widokami naszych łąk. Bliższe opisy zdam Wam po przyjeździe.

Inny temat. Ciocia sprezentowała mi dwie herbaty tj. „Madras” i „Chińską”. Oczywiście za obydwie zwróciłem jej odpowiednią należność. Ogromnie ciekaw jestem jak prosperuje Wasza i nasza (jak kto woli) szklarnia. Tu pomidory np. są już po 100 zł.

Jutro czeka mnie wyjazd o 6.00 rano (pobudka o 5.00 a pociąg z Gdańska o 7.36, bezpośredni do Elbląga), ale wydaje mi się, że nie skorzystam z tej okazji i rano cichaczem wybiorę się pod pomnik do Stoczni im. Lenina w Gdańsku. Nie, że wspaniała nazwa. A jaka wielka (szczególnie ten napis nad bramą). Brakło mi trochę czasu, a to chyba dlatego, że zbyt dużo czasu strwoiłem w dniach początkowych.

Kochani nie będę się rozpisywał, zostańcie z Bogiem.

W miłości Słowa Bożego

Jacek

P.S. Pozdrawiam Was wszystkich. Łączę się z Wami na modlitwie.

Nie zapomnijcie o Apelu i o Timim⁶.

W żadnym wypadku nie odpisujcie

J.R.W.

6 Imię Jackowego kanarka.

List 5

Kochani

AD 1986.11.27

Jest czwartek wieczorem, gdy piszę ten list (wszystko mi się już miesza). Cieszę się, że w domu jest wszystko w porządku, oby tak było dalej aż do przyjazdu. Wysyłam Wam naklejki (był przecież tydzień krwiodawstwa). Bardzo bym chciał mieć w Was gorących sympatyków krwiodawstwa. To nie ważne czy ta krew jest zużywana w kraju, czy gdzieś za granicą. Ważne jest to, że ratuje czyjeś życie (choć sam wolałbym, by było to polskie życie).

Dziś byłem w Klinice dziecięcej na wydziale ortopedycznym i rozmawiałem z opiekującą się dziećmi lekarką prof. dr Stolecką. Już wcześniej się z nią spotkałem, prosząc o zgodę na wejście grupy ludzi z naszego roku, chcących pracować na tymże oddziale. Pani Stolecka obiecała, że porozmawia o tym z profesorem odpowiedzialnym za Oddział, no i porozmawiała. Mamy mieć aktualne książeczki zdrowia i wtedy...

Dziękuję Bogu, że udało mi się tę sprawę załatwić. Zdaję sobie sprawę, że będzie to jeden obowiązek więcej, ale trudno. Kto powiedział, że chrześcijaństwo ułatwia życie?

Moim jedynym marzeniem jest to, by stać się naprawdę człowiekiem. Wbrew pozorom nie jest to takie łatwe (por. Rdz 1,26). Bo być człowiekiem, to nie tylko głęboko jednoczyć się Bogiem, ale być bratem dla każdego drugiego człowieka (Celowo użyłem „drugiego”, a nie „innego”). Być człowiekiem, to spieszyć z pomocą bez względu na to, kim on jest. Być człowiekiem, to wyniszczyć (dosłownie!) siebie w miłości Boga i ludzi.

Oddać nawet życie w kwiecie wieku. Cóż jest piękniejszego niż śmierć dla ratowania czyjegoś życia. Jeśli tylko jestem gotów na tę śmierć, to nie boję się jej, bym nie napisał inaczej. Życie jest piękne, ale każdy człowiek też chce żyć. Może idee czerwonego Krzyża zmieszane z Ewangelią zbyt głęboko mnie przeniknęły, ale teraz nie dziwię się tym, którzy w ciężkich warunkach idą ratować innych. Wiem też, że żyć dobrze, to wielka sztuka, ale chciałbym być zawsze gotów, by oddać to, co ponoć mam najcenniejszego, by ktoś inny też mógł żyć.

Zrozumcie mnie! Życie ma tylko sens, gdy oddaje się je w całości Bogu i ludziom. Życie jest piękne! Ale gdzie urok w egzystencji egoisty! Jestem teraz zakochany w życiu, ale wierzcie mi, gotów jestem je pozostawić i iść

dalej do Tego, który na mnie czeka, by jak mówi Carretto⁷, „być dzieckiem w ramionach Boga”. Teraz nie dziwię się św. Pawłowi, że tak bardzo był rozdwojony, gdy mówił, że z jednej strony chce już odejść do Boga, ale z drugiej wie, że musi jeszcze pozostać, by głosić Ewangelię, to naprawdę trudny dylemat⁸.

Wiecie, to naprawdę smutne, gdy patrzy się na piękno tego świata, na piękno człowieka i tego wszystkiego, co Bóg przez niego stwarza, a jednocześnie widzi się tyle zła i cierpienia, w stosunku do których jest się bezsilnym.

Może Was uspiłem tymi rozważaniami, ale trudno. Proszę módlcie się za mnie, by Bóg dał mi siłę do działania, bym był jak świeca, która choć sama się spala, to jednak oświeca, ogrzewa i zapala inne nieużywane lub wygasłe świece.

Pozdrawiam Was Wszystkich i oddaję w opiekę mojej Mateczce.

Oddany w Bogu.

Wasz Jacek.

7 Carlo Carretto to włoski zakonnik ze zgromadzenia Małych Braci Ewangelii Karola de Foucauld. Jacek nawiązuje do jednej z jego książek tłumaczonych na język polski.

8 Aluzja do fragmentu Flp 1,23-24.

List 6

+AD MAIOREM DEI GLORIAM

AD 1986.12.01/02

Kochani!

Nie bardzo wiem od czego zacząć. Prawdę mówiąc, to najchętniej bym nie pisał tego listu, ale po prostu porozmawiał i opowiedział wszystko, co tłoczy mi się do myśli.

Rozpoczął się wyścig z czasem. Ciężko się pozbierać. A jeszcze niedawno byłem wśród Was. Nie, to nie tęsknota przeze mnie przemawia. To uczucie staram się zwalczać na całej linii. Bo czym jest tak naprawdę tęsknota?! To po prostu głupia chęć bycia z kimś, po to, by tylko być. Z reguły nie ma innych przesłanek. A tłumaczenie tego uczucia miłością jest zupełnym bezsenssem. Miłość objawia się na modlitwie, konkretnym działaniu, a nie na uczuciu, którego nie sposób ukierunkować - raz jest, innym razem go nie ma.

Czy tęsknię za domem? Myślę, że nie. Chciałbym być z Wami, a raczej chciałbym, byście Wy byli ze mną i mogli dzielić te same radości (smutków Wam oszczędzę). Czasem chciałbym być w domu, ale to egoistyczne uczucie związane jest z posiadaniem stałego miejsca i komfortu, niż z jakimś życiowym celem. Brakuje mi książek, lubiłem, gdy były ze mną, ale to też egoizm i to niebezpieczny, bo kierunkujący do zbytniego przywiązania.

Tak więc wiem, że nie muszę być z Wami, by z Wami być. Trudne? Spróbujcie się tego nauczyć. Odsyłam do „Rozmów o milczeniu”⁹. O jedno Was proszę! Nie martwcie się o mnie. A jeśli złe myśli nachodzą Wasz zmęczony umysł, módlcie się za mnie. Tym więcej dla mnie zrobicie, niż godzinami „ślęczenia” i rozmyślenia. Wiecie (przepraszam, że piszę w liczbie mnogiej, ale chcę ten list kierować do wszystkich), że ja i tak dam sobie radę! Jeśli czegoś nie mogę zdobyć, to albo (jeśli to coś mało ważnego) rezygnuję, albo czekam - choć czekać, to ja niestety nie lubię. Pośpiech, to ja mam chyba wrodzony. O ile w domu czasem miałem „czas”, to tu niestety jest expres. Tylko, że z nauką to nie zawsze tak się da.

Na pewno pomyślicie, że chodzę niewyspany i zmęczony. Odnosnie spania to nie zawsze mam dość siły, by zwlec ciało z łóżka i śpię po te 8 - 9 godz. (trzeba z tym walczyć, pole do dalszej pracy). A ze zmęczeniem to

⁹ Zapewne chodzi o książkę o. Tomasza a Kempis „Rozmowy o milczeniu”, Kraków 1985.

jest różnie. Najczęściej, gdy coś mi wyjdzie, znika, i wtedy uśmiechnięty nie czuję nawet ciężaru pełnej książek torby. Co prawda, gdy człowiek „wróci na ziemię”, to życie przytłacza, ale wtedy jest już po 24-tej i idę spać. Tak więc wszystko można pogodzić.

Co prawda żałuję, że doba nie ma 48 godz., ale trudno (...). Na Mszy Św. staram się być często, a w kościele jestem codziennie (teraz są Rekolekcje). A z soboty na niedzielę w katedrze było czuwanie. Oczywiście zostałem na całą noc (w charakterze gospodarza, a planowałem do 22) - cóż to był mój żywioł. Przy okazji poznałem pewnego ojca jezuitę, x Jerzego¹⁰. Fantastyczny „klecha”. Został moim ojcem duchownym (poprosiłem go i zgodził się, myślę, że da mi „popalić”). O szczegółach, jeśli ich nie zapomnę, opowiem w domu - jeszcze 19 dni.

Teraz zaś oddaję Was w opiekę Mateczki

Wasz Jacek

10 Prawdopodobnie był nim duszpasterz akademicki KUL o. Jerzy Białek, gdyż o. Jerzy Świerkowski odszedł z Lublina w 1986 roku.

List 7

Kochani!

20.06.87

Dziś szedłem wieczorem ulicą, szedłem, bo wysiadła komunikacja (brak prądu), bo chciałem iść i trochę przy okazji pomarzyć. Minęły mnie dwie karetki na sygnale, jedna zatrzymała się za mną, druga pojechała gdzieś dalej. W naszym oznakowaniu taki wyjazd oznaczało się pieczątką „W”. Jedyne, co mi pozostało, to smutnie popatrzeć za szybko poruszającym się wozem, zacisnąć pięści i poczłapać dalej. I zastanawiam się, w imię czego tak się męczę. Ale chyba wiem, dziś przyszło mi to do głowy. Nie należę do tych, którzy pokorę utożsamiają z zakłamanym poniżeniem swych umiejętności. Wiem na co mnie stać, wiem, że na coś, co nie jest przeciętne! A wniosek?

Doszedłem do tego, że może z Bożej woli teraz muszę się trochę pomęczyć, by kiedyś popłynąć z podniesionymi żaglami. Co prawda świadectwo mam już w teczce, ale problemy wychodzą z psychologią i nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie. Po pierwsze średnia, po drugie zgoda odpowiednich władz, no i trochę późno, bo należało już rok temu próbować. Tak więc nieciekawie. Ale ja jestem pewien swego powołania, bardziej niż kiedykolwiek. Chcę być lekarzem i nim będę. Ludzie na roku patrzą na mnie jak na wariata, ale nie szkodzi. To nie fantazja. Po to jestem na teologii i po to chcę być lekarzem, by ludziom dać maximum. W pełni, to chyba nie rozumiecie do czego dążę, ale poczekam, aż zobaczycie owoce mojej pracy!

Teraz zaś pracuję jak nigdy, a gdy tylko oddalam się od realiów, od trzeźwego umysłu, mam sposób, by sprowadzić się na ziemię! Wystarczy włączyć magnetofon! Dźwięk nagranych sygnałów karetki od razu przypomina mi do czego dążę! Jest też drugie źródło motywacji. Dosłownie w moje urodziny pogotowie zabrało do szpitala naszego dziadzia¹¹.1 zmarł on dokładnie miesiąc później 16 września, zapewne nikt nie zauważył tego wtedy, ale to właśnie w sierpniu, dokładnie od chwili, gdy zacząłem dyżurować przy dziadziu, zaczęło coś się dziać. Był to moment, gdy zamarzyłem o spokojnym życiu, o kapciach na nogach. Dopiero śmierć dziadzia uprzytomniła mi to, do czego jestem (!) powołany. Na pewno nie do pisania artykułów (choć i to potrafię) i siedzenia w fotelu! I zaczęła się walka, przemeblowanie. Zatonąłem teraz jednak tak daleko, że nie sposób stąd wrócić. Teraz już jestem pewien, że mam być lekarzem i teologiem, czło-

11 Dziadzio Jacka po stronie mamy nazywał się Zygmunt Panek.

wiekim dającym z siebie maximum. Nie jestem nieszkodliwym wariatem ale człowiekiem, który trzeźwo patrzy w przyszłość. Formacja teologiczna pozwoli mi siebie zorganizować i uodpornić ale i uczulić od wewnątrz, medycyna skonkretyzuje działanie! W ostateczności zostanę psychologiem klinicznym (...)¹².

12 List nie dokończony ze względu na nieczytelne pismo.

List 8⁵⁷

Witaj mój Bracie!

Już od dawna obiecałem Ci list pisany na maszynie, więc masz. Co prawda nie mam zbyt dużo czasu, bo na jutrzejszą biologię mam masę roboty, ale może coś napiszę.

W poprzednim liście, jaki, jak dowiedziałem się z telefonu, dostaliście, wysłałem Ci mój rozkład zajęć, byś nie myślał, że tylko Ty masz tyle roboty. Ja, jak na razie mam więcej siedzenia na uczelni, niż pracy, choć dzisiejsza noc będzie chyba dość krótka. Nie ma się co dziwić, bo przecież ja tak naprawdę, to nie mam w domu prawie zupełnie czasu na naukę. Po prostu, gdy wracam, jest już tak późno, że nie mam siły na nic.

Do atrakcji mojego pokoju (być może, że Tato już Wam wszystko opowiadał) należy mysz, która chyba teraz już ze mną wygrała. Po paru dniach intensywnego łapania, czatowania z butem, dziś kończę robotę, Po prostu nie wiem, gdzie ona może być. Tak się na nieszczęście składa, że miałem możliwość oglądania jej w nocy i od tego czasu zaczynam mieć halucynacje. Już nie wiem, czy jest ta mysz, czy też jest to autosugestia. No cóż zobaczymy.

Jest już następny dzień. Dziś spałem aż 3 godziny. Fajnie... Gdyby nie kawa, to nie wiem, co by ze mnie było. Dziś miałem po raz pierwszy ćwiczenia z „Biologii z genetyką”. Po raz pierwszy były dziś mikroskopy. Myślę, że Ty nie masz takich, jak niektórzy z uczestników naszych ćwiczeń. Nie można mieć do nich pretensji. Niektórzy po raz pierwszy mają do czynienia z mikroskopem dopiero tutaj. Po prostu nie mieli np. biologii w szkole.

Przy okazji wiadomość, jaka bardzo Cię ucieszy. Moim obowiązkiem jest dokładna znajomość mikroskopii elektronowej. Ciekawe, nie? Poza tym muszę poznawać i przypominać sobie masę rzeczy z biologii. Osobiście uważam, że jest to i tak zbyt mało, jak dla człowieka zajmującego się problemami psychiki ludzkiej. No ale cóż. Nie ja układam program.

Jest już bardzo późno w nocy, więc muszę kończyć.

Do zobaczenia na Wszystkich Świętych

Jacek

Lublin 1990.02.02

List 9

Cześć Ludzie!

Serdeczne dzięki za prowiant i pieniądze. Wbrew temu, co było pisane, kupiłem nie tylko talon, ale i pierwszy tom¹³. Co prawda, krucho będzie teraz z finansami, ale przyjadę do domu około 15 lutego, więc może uda mi się wziąć parę groszy, może babcia też poratuje mnie¹⁴. Myślę, że jakoś to będzie. Jak na razie, mam obiady, pieniądze za stancję mam odłożone, podobnie na bilet. Na czysto pozostaje mi 40 000 zł, więc nie jest źle. Bogu dzięki, kapusta kiszona jak na razie nie podskoczyła. Tak naprawdę, to jest to coś, co jest gwarantem mojego zdrowia, przynajmniej jako tako się trzymającego. Poza tym ma mi wystarczyć na chleb, masło no i tyle. Cukier kupiłem zaraz po przyjeździe Marcina, herbatę mam, kawy powinno mi wystarczyć do przyjazdu, choć piję jej coraz więcej. No cóż takie czasy. Tyle jeśli chodzi o kwestie żywieniowe.

Co do nauki, to muszę przyznać, że jestem trochę zły, bo mój łeb nie pracuje tak jak trzeba. Nie chłonie tego wszystkiego, w tempie takim, jak bym sobie życzył. Myślę, że jest to jakiś chwilowy kryzys.

Co do mojego przyjazdu do domu, to myślę, że przyjadę około 15 lutego. Nie mam co prawda czasu, ale w domu może też się czegoś nauczę, a nie chce mi się siedzieć w domu jedynie parę godzin. 19 lutego muszę już być w Lublinie.

W domu jestem teraz cały czas. Problem w tym, że nie zawsze Pani Ania¹⁵ jest, wobec tego dzwonienie do mnie może być trochę utrudnione. Nie umawiam się na konkretny termin, bo jest to trudne ze względu na to, co napisałem. Mam nadzieję, że jednak ktoś do mnie zadzwoni. Resztę opowiem jak przyjadę.

Pozdrawiam Was wszystkich, mojego brata (! ?) też

Do zobaczenia w domu

Jacek

13 Chodzi o Encyklopedię Katolicką, która była sprzedawana na talony.

14 Jacek nawiązuje do dobroci babci Anieli Panek.

15 Imię lokatorki mieszkania wynajmowanego przez Jacka.

List 10

Lublin 26.05.1990 r.

Dla dziecka Dzień Matki, to refleksja nad tym, co jest przeszłością, fundamentem, prasiłą. To także chwila czasu na „dziękuję”. Gdy teraz siedzę zakopany w neurofizjologii, nie mogę oprzeć się pokusie napisania innych życzeń, innych od tych corocznych.

Dzięki za mój umysł i lata Twojej pracy nad moją duszą i lata wysiłku nad ukształtowaniem 1400g. mojego mózgu. Bez tego Twojego wysiłku byłbym bezkształtną masą niezdolną do czegokolwiek. Pamiętaj o tym, gdy przychodzi chwila zwątpienia.

Mamie - syn

List 11

Jest kilka metod dochodzenia do wartości, jednak droga przez cierpienie jest zdecydowanie najprostszą.

Witajcie!

Myślę, że nie pogniewacie się na mnie za to, że piszę na maszynie, chcę jednak zaoszczędzić Wam kłopotów z czytaniem tego listu. Przepraszam też za niewielki odstęp między wierszami, ale dzięki temu zapiszę mniej papieru, a wiele kartek trudno jest włożyć do normalnej koperty.

Piszę ten list, gdyż nie wiem czy dam radę zadzwonić do Was w tym tygodniu.

Moje zdrowie płata mi niezłe figle i na pewno postaram się przetrzymać okres Świąt w przynajmniej znośnej formie. Kłopoty mam ze sprawami drugorzędnymi, jak wymioty, osłabienie, kaszel i gorączka. Te dwie ostatnie sprawy wymagają omówienia.

Przypuszczam, że znów zatajono w Klinice pewną sprawę (odsyłam do chemioterapii) - punkt o powikłaniach pulmonologicznych. Moja gorączka występująca w tej chwili może (choć nie musi) być gorączką nowotworową, co oznaczałoby dalszy rozrost nowotworu, ale może też być (i jest to bardzo prawdopodobne) powikłanie po bleomycynie - po prostu zwłóknienie płuc. Stąd uporczywy, suchy, trudny do zwalczenia kaszel, podwyższona temperatura. Przy normalnych objawach powinno jeszcze wystąpić trzeszczenie u podstawy płuc (u mnie świszczenie i trzeszczenie w szczytach),

ale nie jest powiedziane, że medycyna to matematyka. Każdy organizm jest inny. Przy następnej wizycie w Klinice dokładnie wypytam się lekarzy.

Poza tym to wszystko po staremu. Raz lepiej, raz gorzej. Postaram się teraz nie wychodzić z domu, może tylko sporadycznie, aby czegoś nie złapać. Nie wyjdzie mi to na dobre, gdyż ogólna moja kondycja spadnie, no ale cóż. Mam kilka wariantów. W grę wchodzi tylko wyjazd w pierwszy dzień Świąt do Rodziców Ewy, wyjazd na spotkanie z Harrisem¹⁶ i wyjście do kościoła. No właśnie. Już słyszę: „kościół dziecko, to ty sobie podaruj. Jesteś chory, oszczędzaj się. Tłok, zimno”. Przepraszam, jeśli nikt nawet przez moment tak nie pomyślał. Ale pewnie mam rację. No cóż, póki jeszcze żyję, postaram się, by coś z tego co moje, a przed czym się tak zapalczywie bronicie, jakoś przedostało się do Was. By nie prowadzić bezsensownego sporu, od razu dodam, że mam zarezerwowane miejsce w prezbiterium bazyliki, w takim punkcie, w którym będę nie tylko bardzo blisko wszystkich uroczystości (bliżej niż inni wierni), ale też będę mógł wyjść do zakrystii, by napić się z termosu herbaty, zażyć lek, czy po prostu wyjść. Jeśli nie będę w stanie uczestniczyć w Triduum, to i tak codziennie będzie u mnie O. Tyberiusz¹⁷, nasz przyjaciel, który teraz codziennie rano przynosi mi Komunię św. W razie potrzeby w Niedzielę Wielkanocną odprawi mi w domu Mszę Św. Tak więc jestem już zabezpieczony we wszelki możliwy sposób. No może, gdybym wylądował w szpitalu, to byłoby to niezbyt zgodne z planem.

I jeszcze dwa słowa o zdrowiu. Dziś Ewa zdobyła Porkontolon i myślę, że po nim nieco lepiej się poczuję. Ja sam wprowadziłem sobie Diphergan (to, co dostaję w zastrzyku). Oprócz tego zażywam dwa razy dziennie Diprophyllinę. Obczytałem, czy to nie kłóci się z moimi lekami (brałem to w Rzeszowie, a w Krakowie raz przepisał mi to dr Zemełka na wypadek duszności). Teraz przydaje mi się to znakomicie, dużo łatwiej mi się oddycha. Reszta terapii zgodnie z zaleceniami. No to tyle.

Przypuszczam, że to co piszę nie nastroiło Was zbyt optymistycznie. Zaraz zaczną się domysły co i jak ze mną. Muszę Wam powiedzieć, że cokolwiek bym nie napisał, to i tak mi nie uwierzycie. A fakty są takie, że choć czasem

16 Clive Harris (zm. 17.09.2009) - znany uzdrowiciel, bioenergoterapeuta. Znany w Polsce od lat 70 ubiegłego wieku. Harris prowadził seanse uzdrowicielskie w polskich kościołach.

17 O. Tyberiusz Nitkiewicz OFM (ur. 21.04.1963), święcenia kapłańskie 20 maja 1989; od 1 lipca 2012 r. ekonom i dyrektor Domu Pielgrzyma w Wejherowie.

niedomagam, to jednak czuję się świetnie. Cieszę się, że zostajemy z Ewą w domu, bo bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję teraz ciszy i spokoju. Nie zniósłbym przewalających się przez dom tłumów gości. Właśnie ta cisza sprawia, że tak bardzo lubię wracać do Katowic.

Druga sprawa, to opieka kapłana, na którą nie mogę liczyć nigdzie indziej w takim stopniu. Nie przeczę, że jestem uprzywilejowany w stosunku nawet do innych chorych, wiem jednak, że... No właśnie... Na pewno jest w tym trochę „perfidii”, ale nie czuję, by to akurat obciążało moje sumienie. Kapłan będzie przychodził do mnie przez cały Wielki Tydzień, a i potem poproszę Tyberiusza, by rektor delegował do mnie diakona, który codziennie, jeśli Tyberiusz nie będzie mógł, przyniesie mi Komunię Św. Po raz pierwszy Tyberiusz był wczoraj w niedzielę. Wysłałem po niego Ewę, jeszcze w sobotę, ale go nie zastała. Zostawiła mu kartkę, by przyszedł z Komunią Św. i Olejami Św. Sakrament Chorych, to nie ostatnie namaszczenie, a pomoc choremu (który oczywiście od razu czuje się lepiej), stąd uważałem, że skoro ostatni raz modlono się nade mną we wrześniu, to najwyższy czas, by ktoś znowu się zlitował. Co prawda wystraszyliśmy Tyberiusza nieco tymi olejami, no ale cóż. Teraz spokojnie siedzę sobie w domu przygotowany na ewentualne przyspieszone przeprowadzki, bo tak naprawdę, to nigdy nic nie wiadomo. Życie jest jednak tym, co kiedyś się kończy i to akurat wtedy, gdy trzeba. Wszelkie takie frazesy, jakie mam wątpliwą przyjemność słuchać w stylu „ty jesteś do życia”, czy „wszystko jeszcze przed tobą” niewiele są warte. Czy chcecie, czy nie, musicie to zrozumieć. Im szybciej to uczynicie, tym lepiej dla Was. Życie jest zbyt piękne, by robić z niego koszmar. Ale, by było piękne, trzeba najpierw umieć żyć. A życiem przecież nie jest tylko ta nasza chwilowa egzystencja.

Już Stary Testament w Księdze Koheleta pisze:

„Wszystko ma swój czas I jest
wyznaczona godzina Na wszystkie
sprawy pod niebem:

Jest czas rodzenia i czas umierania

Czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono

Czas zabijania i czas leczenia (...)¹⁸

Czy trzeba jeszcze coś do tej starożytnej mądrości dodawać? Człowiekowi

18 Por. Koh 3,1-3a.

dana jest możliwość uczenia się życia, przygotowania na to, co nie stanowi kresu jego egzystencji, ale próg przekraczalny dla tych, którzy szansę podjęli. Nikt nie powiedział, jak długi okres człowiek ma na to. Ma jednak zawsze aż nadto dużo czasu. I jest z tym zawsze tak, jak z Łaską daną człowiekowi w chwili doświadczenia. To tylko człowiek marnuje to, co dostaje; stawia głupie, bezsensowne pytania, jakby działa mu się jakaś wyjątkowa krzywda, zaślepiony i krótkowzroczny, nastawiony tylko na to, co stanowi zysk w jego rozumieniu. Czasem nawet nie chce mu się pokusić o wysiłek spojrzenia wstecz. A warto. Umyka nam wiele okazji do tego, by nareszcie zrozumieć, że to co dzieje się w życiu, to nie żadne przypadki, czy wypadki losowe, a autentyczna ŁASKA, DAR, który trzeba jedynie podjąć. Tak naprawdę, to najlepiej by było, gdyby całą tę mądrość ktoś nam tak bezproblemowo wlał. Bylibyśmy mądrzy bez żadnego wysiłku. Czy nie myślicie tak? (marzec 1991)¹⁹

List 12²⁰

Mamuśka!

Nareszcie nie napisałaś nic o zdrowiu. To już jest list. Prosiłem o kawałek ciasta. To co nam przysłałaś starczy pewnie do następnych świąt. No cóż zaprosimy gości. Co do przyjazdu, to przyjedź 10 kwietnia „Hetmanem”. Tak będzie najlepiej. Zostaniesz wtedy na piątek. Myślę, że wtedy omówimy sobie pozostałe sprawy. Dzięki serdeczne za pieniądze. Oddamy wszystkie długi, a żyć będziemy z pieniędzy z wypłaty. Raz jeszcze dzięki.

Do zobaczenia. Pozdrowienia dla wszystkich.

Ewa i Jacek

19 List nie został zakończony, ale był wysłany.

20 List pisany w kwietniu 1991 r.

Listy do ks. prof. Janusza Nagórnego

List 1 ²¹

Drogi Księżu!

I co ja mam Księdzu napisać? Wyciągnął mnie Ksiądz z łóżka o godzinie 22, w zimnym pokoju, po całym dniu przeprowadzki. Tak, tak. To prawda. Śpi sobie człowiek spokojnie, po całym dniu pracy (na tyle na ile mogę oczywiście); a więc śpi sobie człowiek spokojnie (po przeprowadzce) jeszcze na starym „locum” (bo nowe jeszcze niezupełnie gotowe), w zimnym „locum” (bo grzejnik olejowy już przeniesiony), aż tu żona przychodzi i przynosi list. Właśnie przypomniała sobie, że widziała go wcześniej w skrzynce. Patrzy więc rozespany, nieprzytomny człowiek, czyje to pismo otrzymuje o tak późnej porze... i trzeźwieje od razu!

Ale dość żartów. Serdecznie dziękuję za list i zastanawiam się co napisać. Prawdę mówiąc, to już nie pamiętam dokładnie co pisałem wcześniej, ale... czy Ksiądz dobrze zrozumiał mój list? Postaram się więc tym razem więcej napisać takiego tekstu, który będzie Księdzu pomocny w pracy kapłańskiej i dydaktycznej. Proszę jednak, aby nie był on nigdzie cytowany - nawet na seminarium. Dla seminarium będę miał parę słów „na żywo”. Moje doświadczenie musi być gdzieś przekazane. Nie jest to łatwe, ale niekiedy konieczne. I choć wiem, że to co chciałbym im przekazać, prawdopodobnie umknie ich uwadze, to jednak uważam, że dobrze byłoby spróbować. Ja sam smak teologii poczułem po operacji (a na stole operacyjnym rozwiązywałem sobie problemy mojej pracy magisterskiej). Tak więc to, co napiszę, jest tylko dla Księdza. Ot, takie rozważania przyjaciela. Nie studenta (nb. podwładnego!), ale człowieka nieskrępowanego, niezależnego, a więc przyjaciela. Są to moje przemyślenia i to, co może być fundamentem, czymś w rodzaju życiowego „w drodze”. Jest to ważne i jednocześnie trudne do przekazania. Proszę mi więc wybaczyć, jeśli coś będzie nieściśle. Liczy się jednak duch, nie litera.

Zacznę od pewnych kwestii zawartych w liście, jaki otrzymałem od Księdza. Postaram się je poruszyć w kolejności ich występowania.

21 List nie datowany, na kopercie data wysłania 12.12.1990 r.

Napisał Ksiądz, że wiadomość o mojej chorobie „poraziła” was wszystkich, wśród których byłem. Już po tym zdaniu mógłbym napisać Księdzu co najmniej kilkutomowe dzieło. Muszę powiedzieć, że niezbyt rozumiem, co ludzie chcą powiedzieć przez ten właśnie zwrot. Czy coś takiego można napisać do teologa? I czy może to napisać teolog? Wie Ksiądz dobrze, że własną chorobę traktuję jako niecodzienną łaskę, do przyjęcia której byłem przygotowywany dość długo. Całe moje życie (i nie jest to przesadą) od samego początku było uczeniem mnie zaufania Bogu. Cokolwiek ważnego było (i jest) w moim życiu, było zawsze kierowane przez Boga dla mojego dobra, choć nieraz wbrew mojej woli. Tam, gdzie się wahałem, inni byli wykonawcami Jego woli. Tak było z egzaminem wstępnym! Na pewno nie zdawał sobie Ksiądz sprawy z tego, że decyduje Ksiądz o moim życiu, wykonując Jego wolę. Tak jest i teraz. Ja sam, w swojej słabości miałem czasem chwilę, gdy pytałem: „dlaczego?!”. I wtedy stawał mi przed oczyma mój życiorys: Pierwsza Komunia św. i wypadek (oparzyłem sobie wtedy nogę wrzątkiem i do Komunii ojciec niósł mnie na rękach). Potem szkoła. Podstawówkę musiałem kończyć w Rzeszowie, bo tato, jako przewodniczący szkolnego komitetu rodzicielskiego, zwrócił uwagę gronu nauczycielskiemu, by na spotkaniach z rodzicami w szkole powstrzymywali się od spożywania alkoholu. Ojcu nic nie można było zrobić, ale ja byłem w zasięgu ręki. Gdybym nie został przez rodziców przeniesiony, nie miałbym szans nawet na lepszą zawodówkę. Czy trzeba pytać „dlaczego?”

Potem był ogólniak. I znów nie dostałem się do najlepszego w Rzeszowie. Zostałem natomiast przyjęty do mniej więcej równego poziomem nauczania, tylko tyle, że „czerwonego” Liceum. Po drodze do szkoły miałem kościół oo. Bernardynów z cudowną Statuą Matki Bożej. Dzięki temu, że trafiłem do II LO, na mojej drodze „wyrósł” ów klasztor. W tym sanktuarium przeżyłem swoje drugie nawrócenie. I po latach wiedziałem, dlaczego to wszystko tak się stało, choć na początku można było stawiać pytania.

Egzamin wstępny Ksiądz pamięta. Wtedy też wszystko toczyło się po Jego myśli. Długo zastanawiałem się nad podjęciem decyzji i właśnie stąd był ten egzamin. Gdybym go oblał... teraz przygotowywałbym się do święceń kapłańskich. Jednak pięć lat temu nie wiedziałem, czy się zmieszczę w utartych strukturach, czy będę mógł dalej pracować ... Wolałem więc złożyć decyzję w Jego ręce. Jedyńm moim postanowieniem było „robić dobrze to, co robię”. I tak dostałem się na studia. Prawda jest taka, że

Ksiądz był po prostu wykonawcą Bożej woli. Czy przez to zostałem Księdzu „zadany”? Chyba tak, ale jako „oścień”. Ale to już inna kwestia.

I tak przez całe moje życie, przez studia, raz po raz nie rozumiałem wielu sytuacji, ale z ufnością szedłem do przodu, uparcie do przodu, wiedząc, że za parę dni, może tygodni, będę mógł dostrzec Jego palec delikatnie kierujący mną ku temu, co najlepsze. Tak było też, gdy w Kielcach musiałem na ślepo zaufać. Byłem szczęśliwy z choroby, po powrocie na trzy dni do Rzeszowa. Ziarno już kwitło! Na owoce już niedługo trzeba czekać.

Gdy w Krakowie, przez przypadek, zatrzymano mnie w szpitalu (w czasie podróży do Katowic, na dzień przed ślubem), zastanawiałem się dlaczego i tym razem tak ma być. Do dziś nie wiem, dlaczego nie dane nam było uczestniczyć w uroczystościach w kościele, ale ... znów ufam.

Tak jest i teraz. Nie jest to proste. Zaufać, że coś, o czym wszyscy mówią z przerażeniem, jest dobrem, nie jest łatwo. Na pewno łatwiej byłoby przeklinać. Przeklinać wszystko i wszystkich, szukać winnych, narzekać... wyjść nie tylko pokonanym, ale też równie nędznym, jakim się już było.

Dane mi jest, dzięki mojemu wcześniejszemu przygotowaniu patrzeć na całość mojej choroby bardzo optymistycznie. Wiem, że może mnie już niedługo nie być. Nie mąci to jednak mojego spokoju. Znów będzie tak, jak On zechce.

Tak na marginesie tego, co piszę i cytowanego zdania, chcę przypomnieć, że nie tylko byłem, ale i jestem z Wami. Moja chwilowa nieobecność nie wyłączyła mnie jeszcze - tak myślę - tak zupełnie ze wspólnoty z roku i z seminarium.

Idźmy dalej. Pisze Ksiądz o taniej pociesze, jakiej mógłbym (lub nie) oczekiwać. Racja, że jej nie oczekuję. Od momentu, gdy obudziłem się na stole operacyjnym (nie da się tego uczucia opisać - szczególnie po operacji klatki piersiowej, gdy człowiek najłatwiej się załamuje, bo jest to uczucie pełnego bezwładu), pierwszą myślą było: „żyję”. Tej myśli uczepiłem się wtedy kurczowo i trzymam się jej do dziś. I - jak chyba już o tym pisałem - trzymanie się tej myśli jest mi bardzo pomocne.

Nawet wtedy, gdy byłem umierający, gdy wiedziałem, że jest to krawędź przepaści, nie dopuściłem „zgody” na śmierć. Nie oznaczało to buntu, ale walkę o życie, z wyraźną jednak aprobatą Bożej woli. Niech mi Ksiądz wierzy, że chętniej być może przeniósłbym się do Niego, uważam jednak, że jestem jeszcze potrzebny tutaj, że moje zadanie nie zostało w pełni wykonane.

To, że moje zaufanie rośnie, nie powinno Księdza dziwić. Wiem, że obecność Chrystusa przy mnie jest rzeczą pewną. Pamiętam pewien przypadek, który ufnie utwierdził mnie w przekonaniu o słuszności tego, co piszę. Pamiętam, że zaraz po ślubie ze szpitala w Nowej Hucie przewieziono mnie do Instytutu Kardiologii. Tam miałem podreperować serce (guz uciskał worek osierdziowy i po operacji nastąpiły zaburzenia pracy serca). Z kardiologii przewieziono mnie do Instytutu Onkologii, ale nie na chemioterapię (gdyż tu nie było miejsca dla mnie), lecz na radiologię (chwilowo, aż do zwolnienia się łóżka). Pierwsze dwa dni czułem się nieźle, choć byłem bardzo słaby. Trzeciego dnia rozpoczął się kryzys. Tego dnia mogłem jeszcze przyjąć Komunię św. Ale następnego dnia było jeszcze gorzej. W rozmowie z lekarzami mój ojciec dowiedział się, że nie mogą oni nic zrobić, bo moje serce się kończy... Trzeciego dnia było jeszcze gorzej. Z tych dni nic zresztą nie pamiętam. Jedyne wieczorem, przed przyjściem księdza kapelana, trzeźwiałem. Ale owego dnia byłem już tak słaby, że nic z niego nie pamiętam, cały też dzień wymiotowałem. Ponoć tylko zapytałem się ojca, czy mam jakąś szansę. Tato odpowiedział mi wtedy, że tak, po czym wyszedł z Ewą na korytarz i ze łzami w oczach, powiedział, że to już koniec. Wieczorem przyszedł kapelan, ojciec kapucyn, bardzo skromny ojciec (tak skromnego człowieka jeszcze w życiu nie widziałem). Był codziennie razem z „Mistrzem” i po tym obchodzie wracał jeszcze do mnie na pogawędkę. Odwiedzał mnie codziennie - wiedział, że studiuje teologię. Tak więc przyszedł kapelan, a widząc mnie leżącego nad miednicą, oświadczył, że nie mogę przyjąć Komunii św. Chyba Ksiądz nie sądzi, że się na to zgodziłem. Wyprosiłem: „choć Ogruszek”. Udało się i ... przestałem wymiotować. Pół godziny później przyszedł ponownie kapelan i widząc, że jestem w skrajnym stanie, zaproponował mi Sakrament Chorych. Odparłem, że przyjąłem ten sakrament w dniu operacji (miesiąc wcześniej), ale to przecież w niczym nie przeszkadza. I tej nocy zacząłem zdrowieć. W stanie bezpośredniego zagrożenia życia byłem jeszcze przez trzy tygodnie, ale poprawiało mi się „w oczach”. Można z tego wysnuwać różne wnioski. Ja sam milczę. Cokolwiek bym powiedział, to będzie mało. Wspomniał Ksiądz w liście o mojej osobie, o moich cechach. Niech mi Ksiądz wierzy, że nic z tego się nie zmieniło. Jedyne przybyło mi tego, o czym pisałem.

Duch mój jest jednak dalej niespokojny i najchętniej wyrwałby się z tego

wszystkiego, co go krępuje. Wspomniał Ksiądz w liście o pokusie buntu. Jest mi ona zupełnie obca i chyba nie muszę tego udowadniać. Co się zaś tyczy tego, że dawniej tak często wyrywałem się do szpitala ... No cóż, kiedyś napisałem, że właśnie szpital, nie klasztor i nie kościół, ale dla mnie właśnie szpital jest miejscem, gdzie jest „najwięcej” Chrystusa. Dlatego tak bardzo mnie tu ciągnęło i ciągnie nadal.

Boję się wyjazdów na każdą serię „chemii”. Poszczególne kuracje znoszę coraz gorzej, coraz częściej wymiotuję, co jest naturalną reakcją. Ale wiem, że jestem na swój sposób na oddziale potrzebny. Mój optymizm, moja pogoda ducha pomagają nie tylko mnie, ale i innym pacjentom. Wiem to choćby z rozmów z rodzinami chorych. Dlatego w zasadzie lubię powrót na oddział, choć nie zawsze spotykają mnie tam same przyjemności.

I ostatnia sprawa. Pisze Ksiądz: „Ale Bóg chciał inaczej w Tobie i przez Ciebie miłować. Powoli i zapewne boleśnie to «inaczej» odkrywasz”. Czy zapomniał Ksiądz, że pisze do mnie jako prawie do teologa i to zajmującego się bioetyką i etyką medyczną? Nie odkrywam tego ani powoli, ani też boleśnie. Czy to, co piszę jest takie dziwne ?

Z ludźmi cierpiącymi i umierającymi spotykałem się często odwiedzając Dom Emerytów, czy też pracując w Pogotowiu. Widziałem i słyszałem niejedno, moje ręce pomagały ratować życie, bywało też, że na tych rękach umierali ludzie. Widziałem cierpienie ludzi. Mnie tak naprawdę nie dane jest cierpieć. Ta drobna dolegliwość nie może być nazwana niesieniem krzyża. Cieszę się jednak, że mogłem stać w tłumie, bardzo daleko od Golgoty i dostrzec Krzyż. Nigdy jednak od czasu, gdy po raz pierwszy wsiałem do karetki, nie powiedziałem o swej dolegliwości jako o „cierpieniu”. „Cierpieć” to wielkie słowo.

Niech mi Ksiądz wierzy, że nie ma nic przesady w tym, co piszę. Nie czuję się samotny i opuszczony ani przez Chrystusa, ani przez ludzi (rodzice i Ewa byli przy mnie cały czas). I choć czuję respekt przed śmiercią (ale powtarzam: nie lęk, lecz respekt), to bez względu na to, kiedy ona nadejdzie, czy jutro, czy za rok, czy też za lat 50, to wiem, że w chwili mojej śmierci będzie nas dwóch: będę z Chrystusem. Miłości Bożej nie można odkrywać boleśnie. Ja zaś doświadczam wielkiej łaski.

Na to, co przeżywam, patrzę mimo wszystko optymistycznie. Cokolwiek się stanie, będę na pozycji wygranej. Jeśli terapia okaże się nieskuteczna - no cóż, czy trzeba tłumaczyć moją wygraną? Jeśli zaś wyzdrowieję, to zysk

i mądrość, jaką posiąde dzięki owej łasce Bożej pozwoli na jeszcze efektywniejszą pracę dla innych, czy to jako teologa, czy też jako psychologa.

Krzyż towarzyszył mi od II klasy LO. Duży krzyż drewniany nosiłem stale w torbie, miałem go podczas zdawania matury w kieszeni marynarki, podobnież podczas egzaminów wstępnych. Duży krzyżyk mam też przy różańcu. A gdy ów egzaminacyjny krzyż podarowałem Ewie, kupiłem sobie metalową kopię krzyża - pastorału Jana Pawła II i on teraz, od dwóch lat, towarzyszy mi codziennie. Jest w kieszeni kamizelki, gdy jestem w domu, lub w kurtce, gdy wychodzę. Jedzie ze mną obowiązkowo obok relikwiarza²², Biblii i brewiarza do szpitala. Czy więc dziwne jest, że dane mi zasmakować nieco niedogodności. Niech Ksiądz sam oceni. Droga Krzyżowa należy do moich ulubionych nabożeństw.

Tyle byłoby w odpowiedzi na list. Nie wiem, czy Ksiądz nie zasnął nad tym moim piśmidłem. List jest długi i pewnie nudny. Z góry przepraszam za pewien bałagan, ale niestety piszę go partiami. Bardzo mi zależało na tym, by to wszystko komuś przekazać. Może on być wykorzystany w pracy, ale anonimowo. Proszę go też nie czytać na Seminarium. W przeciwieństwie do poprzedniego, ten jest bardziej osobisty i przeznaczony tylko dla Księdza.

Napisałem tylko to, co stanowi ogólny zarys. Resztę, jeśli Ksiądz zechce, opowiem przy jakimś spokojnym spotkaniu. Jest jeszcze wiele spraw, które chciałbym poruszyć. Niestety przerasta to moje siły. Przy tej okazji przepraszam za może mało czytelne pismo, ale jeszcze niezupełnie przywykłem do pisania ręcznego. Na maszynie zaś nie piszę jeszcze tak biegle, by napisać tak długi list.

Napisałem tak wiele z osobistych przeżyć. A ponieważ uważam to wszystko za dar, czuję się więc zobowiązany do podzielenia się nim z innymi. Tak jak pisałem, może to nie zawsze precyzyjna wypowiedź, ale nie wszystko da się tak dokładnie ująć w słowa. Myślę, że istota jest jednak zrozumiała. Mam też nadzieję, że list ten będzie Księdzu pomocny nie tylko w pracy, ale i we własnym życiu. Także z tą intencją go pisałem.

Do Krakowa wyjeżdżam 13.12 i planowo powinienem zostać tam 5 dni. Jak długo jednak będę - nie wiem. Jeśli nie będzie komplikacji, to

22 Chodzi o relikwiarz bł. Brata Alberta.

prawdopodobnie zostaną tylko te 5 dni. Potem jadę do domu do Rzeszowa. Razem z Ewą planowaliśmy spędzić święta w Rzeszowie. Muszę przy okazji wspomnieć, że udało nam się zdobyć w Katowicach mieszkanie (pokój, kuchnia, łazienka). Co prawda na razie tylko na półtora roku, ale jest szansa na to, by otrzymać przydział na nie. Ale to dalsza przyszłość. Tak więc Ewa przyjeżdża do Rzeszowa 21.12 (jeśli nic się nie zmieni) i na Wigilię jesteśmy już razem (co do tego nie ma wątpliwości).

W najbliższą niedzielę będę na pewno w klinice chemioterapii (Instytut Onkologii, IV p., ul Garncarska 11, Kraków). Potem zaś w Rzeszowie (mieszkam dokładniej za Rzeszowem, Palikówka 404). Mój domowy nr tel. 113-23. Jeśli zaś nie spotkamy się gdzieś tutaj, to na pewno będę w Lublinie w styczniu, lub w lutym. Mam jeszcze wiele do opowiedzenia. Raz jeszcze dziękuję za list.

Oddany w Chrystusie - Jacek

PS. Na wypadek, gdybyśmy się nie spotkali przed świętami, tak Ewa jak i ja życzymy Księdzu owocnych i pełnych błogosławieństwa Bożej Dzieciny świąt. Niech Dzieciątko będzie nie tylko Przewodnikiem na ścieżkach życia, ale i Stróżem tego, co Ksiądz robi. Życzymy radosnych świąt.

Ewa i Jacek

PS 2. Może Ksiądz potraktować ten list w sposób szczególny. Tak długie listy jak na razie dostawała tylko Ewa.

Szczęść Boże! J.

List 2 (fragmenty)

(...) Sypie się wszystko, co może się jeszcze sypać. Bogu dziękuję za łaskę przyjazdu do Lublina. Wiele radości sprawiła mi możliwość poznania nowych ludzi na seminarium, a przede wszystkim możliwość spotkania się ze wszystkimi. Teraz byłoby to niemożliwe. Po prostu nie mam już siły. Choroba dość mocno nadwyręża moje siły, coraz częściej muszę się odwoływać do sztucznej, tabletkowej stymulacji pracy organizmu, a i mój nowotwór daje już znać o sobie do tego stopnia, że mała, bo 0,01 g. dawka morfiny staje się niemalże koniecznością co 4 godziny. Daruję sobie noc, bo nie chcę się zbyt szybko uzależnić. Nie oznacza to oczywiście, że już będę zawsze brał morfinę. Jest ona jednak teraz bardzo potrzebna.

Co prawda wypisano mnie do domu, lecz zaznaczono, że jest to na granicy możliwości. I tak jest faktycznie. Po prostu stopniowy zanik sił. Ostatnio nieco dźwignąłem się, jest nieco poprawy w mojej kondycji, ale nie jest to taki stan, jaki można by nazwać zadowalającym. Jak już wspomniałem, stopy tabletek stały się dla mnie koniecznością, bez której nie mam racji bytu.

(...) Mam teraz dużo czasu na modlitwę. Muszę przyznać, że to prawdziwy skarb. I choć dużo też śpię (morfina - niestety), to jednak dane mi jest też odkrywać to, co było i jest treścią wielu ksiązek - modlitwę człowieka ubogiego. Pisał o tym o. Carlo Carretto. Wspomina on swoją modlitwę człowieka bogatego, najedzonego i wypoczętego. A potem swoje doświadczenia, gdy był dokerem (tak zdecydowali przełożeni) i gdy zmęczony rzucał się na matę w skromnej kaplicy i nic już nie wiedział o modlitwie.

Przypominam sobie te słowa, ilekroć oczy same zamykają się nad brewiarzem, czy miesza myśl w czasie różańca. Bo tak naprawdę to nie sztuka się modlić i być na swój sposób dumnym z osiągnięć modlitewnych, gdy człowiek posiada to wszystko, czego tylko zapagnie. Teraz doświadczam czasami zupełnej pustki umysłu, którego nie sposób do czegokolwiek zmusić. Nie jest to proste dla człowieka nie przyzwyczajonego do takich umysłowych ograniczeń. Jest to jednak kolejna lekcja pokory. Na pewno bardzo potrzebna (...). (bez daty).

List 3

Witam Księdza!

Zgodnie z tym, co obiecałem, piszę parę słów jeszcze przed wyjazdem do szpitala. Mój powrót bowiem odbędzie się na parę dni przed Wielkim Tygodniem i prawdopodobnie nie zdążę już napisać niczego więcej.

Nie będę się w tym liście specjalnie rozwlekał. List do kolegów z seminarium zawiera treści, które chcę także Księdzu przekazać. Jeśli to, co piszę jest trochę szokujące, choćby w pierwszym odbiorze, to nic nie szkodzi. Nie zależy mi bowiem na słodkim moralizatorstwie, ale na zwięzłym przedstawieniu podstawowych zagadnień, widzianych od pewnej, subiektywnej strony.

List ten dedykuję także Księdzu. Z wypowiedzi Księdza wywnioskowałem, że zapomina Ksiądz nieco o pewnych sprawach i chyba warto je sobie przypomnieć nim zasiądzie się na katedrze.

W tej chwili nie interesuje mnie nic innego, jak tylko to, na ile moje doświadczenia komukolwiek pomogą. Jeśli to co mówię, przyniesie jakikolwiek owoc, choćby w postaci tego, że w pewnym momencie także Ksiądz zastanowi się nad pewnymi problemami, to moja choroba po raz kolejny nabierać będzie sensu.

Jeśli nie będę mógł uczestniczyć w seminariach, to na pewno będę pisał. Temat po temacie, na tyle na ile potrafię. Już teraz przymierzam się do listu, tym razem na temat modlitwy, bez której przecież nie sposób stawić czoła jakimukolwiek doświadczeniu. Ale to już po Świętach.

Mimo, że zapowiadałem swój przyjazd na Kongres²³, myślę, że będzie to dość trudne przedsięwzięcie. Mój ostatni pobyt w Lublinie teraz poważnie odchorowuję. Okazało się, że dawka chemii, jaką wzięłem (bardzo agresywna ze względu na zastój w leczeniu), zrobiła większe spustoszenie w moim organizmie, niż się spodziewałem. Skutek jest taki, że wyjazd do kliniki musiał zostać przełożony o tydzień, a ja do tej pory nie mam pewności, czy nie chodzę z zapaleniem płuc (w moim przypadku daje to zagrożenie życia, a jednocześnie jest trudne do zdiagnozowania ze względu na przerzuty i nacieczenia na płucach - po prostu niewiele widać na zdjęciach). Nie wiem

23 W rzeczywistości chodzi o symposium zorganizowane przez Sekcję Teologii Moralnej KUL.

więc, czy starczy mi sił na przyjazd i uczestnictwo w Kongresie, na który miałem wielką ochotę. Prawdę mówiąc, przygotowywałem już sobie zestaw trudnych pytań do prelegentów, którzy mieli mówić na temat nie tylko związany z moją pracą, ale i z sytuacją życiową.

W związku z tym wszystkim, o czym pisałem, mam prośbę do Księdza o kopie maszynopisów wykładów z Kongresu. Byłoby to dla mnie ważne, jeśli jest to możliwe. Mam nadzieję, że uda mi się napisać znów po Świątach. Postaram się wtedy przygotować nieco materiału o modlitwie, materiału znów subiektywnego, ale przecież nie sposób czasem inaczej. Muszę to jednak jeszcze trochę przemyśleć.

Na nadchodzące Świąta, do tych życzeń, które pisałem w liście do wszystkich uczestników seminarium, pragnę dołożyć jeszcze zupełnie osobiste życzenie ufnej dalekowzroczności. Czy mam rację? Przesyłam także życzenia od Ewy, Rodziców, babci i brata.

Raz jeszcze RADOSNYCH Świąt!

Oddany w Chrystusie Jacek